

ZWIĄZEK DO REMONTU

Rozdział 7

Lekarz popatrzył na mnie, jakbym nie zamknął za sobą drzwi. Wyglądał zaskakująco młodo. Wyobrażałem go sobie jako starego piernika po sześćdziesiątce, który wszystkie podrygi i komplikacje miłości ma już za sobą, stąd może – odwoławszy się także do własnych przeżyć – coś powiedzieć, a tu, proszę, niespodzianka. Trafiłem na rówieśnika.

– Myślałem, że już nie mam więcej pacjentów – stwierdził z rozczarowaniem.

– Bo nie ma pan – potwierdziłem jego podejrzenia. – Jestem zdrowy. Tylko żona uważa inaczej. Wie pan, zgodziłem się tylko ze względu na święty spokój. – Nie dodałem, że także powodowany pewnym poczuciem winy, że spiskuję za jej plecami.

Zdjął okulary, przetarł zmęczonym ruchem.

– No tak, żona uważa... – powtórzył. – A żona ile ma lat, że tak spytam?

– Trzydzieści dwa – odpowiedziałem. – A wygląda na osiemnaście i pół – uzupełniłem, czując, do czego zmierza. – Wszystko jest w porządku, panie doktorze, nadal mnie pociąga i te sprawy. Ale...

– Niech pan usiądzie – przerwał mi, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka.

Przez kwadrans rozmawialiśmy normalnie, jak pacjent z lekarzem. On wyglądał na takiego, który nie usłyszał mojego wyjaśnienia i w historii przebytych chorób upatruje rozwiązania problemów. Tylko, przepraszam, jakich problemów? Czy Iśka coś mu naopowiadała bez sensu?

Wreszcie nie wytrzymałem i przestałem kłamać. No bo co ja mu będę opowiadać? Wyjaśniłem, że cały ten cyrk wziął się z tego, że ja nie jestem gotów mieć dzieci, a moja żona chce ich bardzo, i że tu nie ma problemów z – nazwijmy to tak – wydolnością, tylko z moim brakiem zaufania, że mnie postawi przed faktem dokonanym! Czy on, nie jako lekarz, tylko jako mężczyzna, potrafi mnie zrozumieć?

Lekarz ugryźł długopis w zamyśleniu. Chrupnęło. Wyjął go ust i obejrzał, jakby trochę zaskoczony i zawstydzony, że go na tym przyłapałem.

– A to rzeczywiście inna sprawa, nie z mojej parafii – przyznał. – Wie pan co? Może psycholog coś na to poradzi?

– A co, jak nie chcę mieć dzieci, to jestem chory? – warknąłem.

– No, zasadniczo społeczeństwo bez dzieci istnieć nie może, przynajmniej na dłuższą metę. – Westchnął. – Jako facet to ja pana nawet rozumiem. Syn mi właśnie zaśpiewał taką podwyżkę kieszonkowego, że podwyżka VAT to się przy niej chowa pod dywanem. Ale jak w panu będzie rósł ten niepokój, to w końcu doprowadzi pana do kryzysu. Bo wie pan, najpierw to pan nie chce mieć dzieci, potem jeszcze bardziej i zaczyna pan dochodzić do wniosku, że najlepszą metodą nieposiadania dzieci jest brak seksu... no i sam pan rozumie, do czego to ostatecznie może doprowadzić.

Tu trochę mnie zmroziło. Spojrzałem na niego pytająco.

– Nawet i do rozwodu – rzekł poważnym tonem. – A rozumiem, że jednak pan ją kocha?

Kiwnąłem głową.

– Ale bez dzieci. Po prostu boję się, że ona „nielegalnie” zajdzie w ciążę.

– No wie pan, wszystko zależy, jak na to spojrzeć... – zaczął. Widząc moje zdziwione spojrzenie, kontynuował: – Nie potrzebuje pan celowej, hmmm, działalności partnerki, wystarczy pech. Ryzyko jest wpisane w używanie samych środków antykoncepcyjnych, bo zabezpieczenia swoją drogą, a życie swoją – przyznał lekarz. – Niby to tylko ułamki, ma pan dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procenta pewności, że partnerka w ciążę nie zajdzie, ale ta jedna dziesiąta procenta czasem tak potrafi zająć człowiekowi za skórę... – Westchnął ciężko. – Aha, nie, no przecież rozmawiamy, że ona nie chce ich brać w ogóle... Na to nic pan nie poradzi, poza rozmową z żoną.

Nie pocieszył mnie.

– Ale ja z nią rozmawiam!

Przyglądał mi się z namysłem. Znow ugryźł długopis. Widać w poprzednim wcieleniu był bobrem.

– Inne priorytety – mruknął wreszcie. – Wie pan co? Zapiszę panu witaminy, niech pan łyka. To tak *pro forma*, żeby żona się nie czepiała. Ale jak za pół roku nadal pan nie będzie chciał dzieci, to jednak może potraktujemy to poważniej, co?

Skinałem głową. Za pół roku moja noga tu nie postanie, a problem tego cholernego ogrodu sam zniknie. I do tego czasu przekonam Iśkę, że dzieci to niedobry pomysł.

– No i co? – spytała Iśka.

– Jestem ciężko chory – odparłem z poważną miną. – Żadnych dzieci, spokój i cisza, i witaminy. – Wyciągnąłem receptę. Wecisnąłem jej w garść. – Rokowania nie są dobre, to śmiertelna choroba. Aha, seks mogę uprawiać. – Wyszczrzyłem się.

Zacisnęła zęby. Wiedziałem, że Iśka nie przepada za takim lekko drwiącym tonem, w który czasem popadałem.

– Ale teoretycznie możesz mieć dzieci? – warknęła.

– Teoretycznie mogę. Praktycznie to by mnie zabiło – odparłem i pomaszerowałem do łazienki.

Biorąc kąpiel, słyszałem, jak Iśka szura garnkami w kuchni. No cóż, spodziewała się zapewne cudu: że lekarz nie tylko wyleczy mnie z tej urojonej impotencji, przekona mnie do potrzeby posiadania progenitury, bo to dzieci dopełniają małżeństwo, dzieci to fundament zdrowego społeczeństwa, dzieci to radość na starość, dzieci są kochane, a wnuki słodkie jak maliny w cukrze...

No cóż, po prostu nie chciałem mieć dzieci. Bywa. Iśka wiedziała o tym od początku. Kiedyś zresztą uważała podobnie.

Ach, ten zegar, biologiczny imperatyw, psuj duszy.

Biologiczne imperatywy bywają różne. Jednym z nich jest kuszenie.

Tamta rozmowa o kawie była tylko wstępem. Dwa dni później Kaśka wyczekała moment, aż znajdziemy się sami w kanciapie, i wtedy zrobiła coś, o czym do tej pory wiedziałem tylko teoretycznie, że da się to zrobić, a skoro się da i kobiety są do tego zdolne – to czasem to robią.

Bluzka z zatraskami. Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi, bo właściwie który facet uważnie przygląda się ubraniom dziewczyn, chyba że oczekuje jakichś kłopotów z wysupłaniem ich z tychże ciuchów? No więc kiedy Kaśka odwróciła się w moją stronę i wsunęła dłoń w wycięcie bluzki, zauważyłem dopiero, że jest fioletowa, ładnie skrojona, a pod ręką Kaśki zatraski wypięły się, jakby miały eksplodować i odsłonić biust.

Trzask! Pierwszy zatrask rozpiął się, niby to przypadkiem. Zobaczyłem dłoń Kaśki, a potem wysunęła ją spod bluzki.

– Chcesz kawy? – spytała.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, dodała:

– Idę do Szopena, zaparzą nam coś ludzkiego, nie to, co tu... – Pogardliwym wzrokiem spojrzała na dzbanek i stojącą obok paczkę taniej kawy.

Szopenem nazywaliśmy kawiarenkę w galerii, gdzie kawa naprawdę przypominała coś nie tylko zawierającego kofeinę, lecz także mającego smak. Teraz zmieniła nazwę z Marzenie Chopina na Twoja Kawa, zupełnie jakby nazwa decydowała, czy ktoś tu kupi kawę, czy nie. Na szczęście smak tego napitku w ogóle się nie zmienił.

Przełknąłem ślinę.

– Jas... jasne.

Ale gdy wychodziła, widziałem na jej twarzy uśmiech. Oboje wiedzieliśmy, o jaką kawę chodziło. Nie miałem tylko pewności, czy dobrze odczytuję te sygnały. Bo tak na chłopski rozum, my, faceci, jesteśmy prości: zapala się zielone – jedziemy. Czerwone – stoimy. Żółte – wahanie, czy warto zaryzykować. Na czerwonym mało kto ryzykuje, za dużo wypadków.

Ale ta filozofia lepiej się sprawdza na drogach niż w relacjach z kobietami, bo te ich sygnały...

Często w czasie krótkich przerw w pracy wychodziłem i wędrowałem po naszej galerii, przyglądając się nie tyle zawartości – tym wszystkim ciuchom, butom, zegarkom i reszcie wystawianego tutaj asortymentu, który wydawał mi się droższy niż w pojedynczych sklepikach – ile ludziom. Niektórych poznałem, stąd wiedziałem, że jeśli tylko najdzie mnie ochota, mogę spokojnie pogadać z Darkiem z punktu Totalizatora, nie o hazardzie, tylko o filmach albo książkach. A Szymek z obsługi klienta w jednej z telefonii od ręki rozwiązywał wszystkie moje problemy w swojej dziedzinie, zarówno wtedy, kiedy moja komórka zaczynała szwankować, jak i wtedy, gdy należało mądrze doradzić klientowi, bo nasz sklep także trudnił się handlem aparatami komórkowymi, tyle że nie za złotówkę.

Za to dziewczyny w galerii... To twardy orzech do zgryzienia. Taka Asia z Szopena... Kiedy szła do niej Kasia albo truchtał Kardas, zachowywała się, jakby cały świat ją nudził. Ale kiedy ja czy Boguś przychodziliśmy na kawę, zaczynała się uśmiechać i... no właśnie, nie wiedziałem, czy nas czaruje, czy jest taka miła, bo firma sobie życzy, żeby nieomal siadała klientom na kolanach, inaczej straci pracę. Jak

czytać te sygnały, jak interpretować te zachowania? Kulturoznawca we mnie pewno by coś wyjąkał o specyficznym kodzie kulturowym, ale czy to tłumaczyło wszystko? Nie. Nie wyjaśniało najprostszej rzeczy, podobnie jak w przypadku Kasi.

Nie wiedziałem, na ile sobie mogę pozwolić, żeby nie przekroczyć granicy, za którą niegroźny flirt pracowniczy, ograniczający się do słów, zamieni się w nadmierne oczekiwania jednej ze stron.

Tymczasem Pampuch miał nas w ogniu. Zrobiło się ciepło i na plac wyległy dzieci. A kot... mnie to się, łobuz jeden, głaskać nie dał. Ale dzieci z naszej kamienicy i przyległych tarposiły go bez przeszkód.

Uważałem to za osobistą obrazę. Zdrajca, nie trzymał ze mną jak samiec z samcem, zero solidarności. I jak go miałem lubić? Chociaż czasem czułem, że darzę go sympatią, to jednak jego zachowanie mnie obrażało. A on wiedział, że ja nie chciałem kota... czyli wolałbym, aby w naszym mieszkaniu Pampuch nigdy się nie pojawił.

– Nie dostaniesz chrupek – groziłem mu wieczorem.

– Co, jakaś kara? – spytała z pokoju Iśka.

– Nie, po prostu Pampuch ma mnie w ogniu – przyznałem.

– To znaczy, że zdrowy jest – zaśmiała się. – W przeciwieństwie do ciebie...

Pampuch był zdrowy, ale dusza jego pani – nie. Iśka nie chciała dzwonić do lekarza, żeby spróbować wyciągnąć od niego, co powiedział Rafałowi, ale czuła, że specjalista nie stanął po jej stronie.

I co z tym zrobić?

Zacząła od tego, co ostatnio najczęściej robiła, a co nie podobało się ani dyrektorce, ani koleżankom w pracy: wyszła niby to z pocztą, ale w rzeczywistości po wysłaniu listów pobiegła do Danki.

I teraz smętnie obserwowała rozbrykane maluchy, podczas kiedy jej przyjaciółka parzyła kawę na zapleczu.

– Cudne są, całkiem do schrupania – naraz rozległ się głos za jej plecami.

Oczywiście, Tadek. Stał w płaszczu i patrzył niby na dzieci, ale Iśka wyczuła, że to tylko pretekst, aby objąć wzrokiem jej całkiem jeszcze kształtną figurę. Mimo woli wyprężyła się, poczuła na policzkach ciepło. Męskie spojrzenia wciąż wzbudzały w niej prawidłową reakcję, chociaż wolała, żeby na miejscu Tadeka znajdował się teraz Rafał. Żeby patrzył tak na nią, pod światło, jak kiedyś, gdy ona biegła w przewiewnej sukience, a on często przystawał i bawił się widokiem Iśki walczącej z wiatrem podwiewającym dół tej sukienki albo... pozwalającej, by skraj sukienki oplatał jej piersi czy głowę i odsłaniał kształtne uda. By nie tylko słońce, lecz także ten mężczyzna, jej mężczyzna, mógł się napatrzeć do syta. Napatrzeć, a potem...

Ech, cóż to był za cudowny okres, te chwile narzeczeństwa. Wtedy Rafał zachowywał się inaczej, czulej, zwracał na nią większą uwagę.

Rafał...

Rozmowa o lekarzu, która okazała się wszystkim, tylko nie tym, czego Iśka oczekiwała, coś w niej przełamała.

Nie,

nie

od razu – dopiero teraz. Uznała, że skoro on jest nie *fair*, to...

Nie dopowiedziała tego zdania do końca w myślach, ale uśmiechnęła się do Tadeka zalotnie.

– Ten pana też jest słodki – powiedziała.

– Ale w domu straszny łobuz – westchnął, patrząc na swoją pociechę poprawiającą wysoką wieżę z dużych drewnianych klocków.

Chłopiec przygryzł język i w skupieniu dosuwał górne klocki, które – wydawało się – zaraz spadną.

– Taki wiek. – Zaśmiała się. – Wiem coś o tym...

– Któryś z nich to pani? – spytał z zaciekawieniem, ruchem głowy wskazując dzieci pośrodku sali.

Stężała wewnątrz, a uśmiech na twarzy natychmiast zrobił się sztuczny, przyklejony. Z trudem powstrzymała się przed zagryzieniem wargi. Ci faceci, zero taktu!

– Nie – wydusiła. – Przepraszam, muszę iść.

– Nie chciałem pani urazić – wycofał się szybko.

– Nic się nie stało. Po prostu na razie nie mam własnych – rzekła.

Ale rysa w duszy Iśki, dotąd cienka, jeszcze się powiększyła.

„Rafał musi się zgodzić na dziecko, inaczej oszaleję – pomyślała. – Czy on nie rozumie, ile to dla mnie znaczy? To nie tylko ma scementować małżeństwo. Ma mnie dopełnić!”

Facet nie potrzebuje takiego potwierdzenia, a kobieta owszem, po prostu tak już jest na tym świecie. Na kawalera patrzą może dziwnie, ale mało kto powie czy nawet pomyśli, że do niczego się nie nadaje. Prędzej stwierdzi, że nie miał szczęścia w życiu – co oznacza, że trafił na same nieodpowiednie kandydatki! A o kobiecie bez dziecka myśli się, że jest jakaś wybrakowana, niepełna, nie wiadomo właściwie jaka... za mało kobieca?

Miała mu za złe, że nie chce mieć dzieci. Rafał martwił się o pieniądze, słusznie. Obawiał się nagłej zmiany w ich życiu, braku spokoju – przyznawała mu rację. Jakies pierwsze dwa lata zawsze są trudne, obserwowała to u swoich koleżanek. Ale przede wszystkim – i to miała mu najbardziej za złe – dostrzegał w tym tylko techniczną decyzję, nie zauważał osoby. Nie widział jej! Nie zwracał uwagi na jej potrzeby. Nie akceptował jej.

Duży telewizor jest lepszy od małego. Tak się przynajmniej wydaje.

Perspektywa zmienia się gwałtownie, kiedy trzeba go dźwigać samemu do samochodu klienta. I to kiedy jest się odprowadzającym spojrzeniem Kaśki, która tak urobiła faceta, że ten kupił kłopotliwego o ładny tysiąc złotych od tego, co zamierzał w naszym sklepie zostawić.

Teraz tachałem jego zakup do auta, bo stwierdził, że co prawda ma samochód na parkingu, ale do noszenia to on się nie nadaje, więc może podwieziemy. Usłyszał to Kardas, a ponieważ akurat stałem wolny, więc patrząc na mnie, zapewnił klienta, że jak do samochodu, to nie ma sprawy, pracownik zanieś.

– Ciężko, nie? – odezwał się facet, kiedy byliśmy w połowie drogi.

– Mhm – wydyszałem. – Ciężki jak cholera.

– Nie o telewizorze mówię – poprawił mnie. – O życiu, panie, mówię, o życiu. Ciężko jest. Nawet taki bajerek nie pomaga. Naharuje się człowiek, naugania za zleceniami, potem tylko whisky, kawałek filmu i spać... Ciężko. – Westchnął.

Wzruszyłem ramionami, nie trując się odpowiedzią. Jeśli go stać na whisky, takiego elcedika, jakiego właśnie trzymałem na kłacie, to ja chciałbym mieć tak ciężko jak on.

No, ale każdy ma tak ciężko, jak sobie na to zasłużył.

Złożyłem wreszcie telewizor na tylnym siedzeniu jego półciężarówki (ciężkie musiały być te zlecenia) i wróciłem do sklepu.

Zbliżało się sobotnie południe, ruch straszny, bo ludzie jak zwykle wylegli na zakupy. Tłumiąc jęk rozpaczony, rozejrzałem się za kolejnym klientem...

– Ożeż ty skubany w piórka jedyny! – wrzasnął nagle Badura i pędem puścił się za chłopaczkiem w pomarańczowej kurtce z kapturem.

Zza regału wyleciał jeszcze jeden i obaj walili prosto na mnie – cóż za przypadek, że akurat stałem w bramce! Nie namyślałem się wiele, tylko rozcapierzyłem dłonie. Jeden mi się wymknął, ale ten, na którego wrzeszczał Boguś, nieco spanikował, zmylił krok. Złapałem go za kurtkę. Szarpnął się, rękaw został mi w ręku. Już wyszarpywał się z drugiego rękawa, żeby uciekać bez kurtki, ale wtedy dobiegł Badura i złapał go z drugiej strony.

– Ja ci dam kraść, szczeniaku! – wydyszał. – Na zaplecze z nim!

Dowleliśmy opierającego się z całych sił chłopaka do kanciapy Kardasa.

– Ty wiesz, kto ja jestem? – warknął zatrzymany, kiedy znaleźliśmy się za drzwiami. – Już tata cię przypilnuje, gnoju jeden!

– No kto ty jesteś? – spokojnie odpowiedział Boguś. – Dokumenty.

Chłopak podał mu legitymację.

– A tata jest szefem komisariatu na Rudnej – dodał. – Teraz dotarło?

Akurat do środka wszedł Kardas. Usłyszawszy ostatnie słowa, skrzywił się z niesmakiem. No tak, zdrzec z takimi współczesnymi bonzami zawsze niełatwo...

– Dobra, puść go – mruknął do Bogusia. – Ukradł coś? Nie, to nie będziemy spisywać protokołu ani wzywać policji. Ale mały, już tu nigdy nie przychodź, rozumiesz?

– Zaraz – powiedział zły Boguś.

Właściwie wściekły. Szybko zrobił odbitkę dokumentu. Potem spojrzał na niedoszłego złodzieja i w jego oku pojawił się zły błysk.

– To teraz posłuchaj, mały straszycielu – zaczął spokojnie, ale tak, że chłopak przestał się zachowywać nonszalancko. – Jak się tu jeszcze raz pokażesz, to nie daruję. Wtedy szukaj miękkiej poduszki.

Chłopak spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc.

– Bo jak tatuś się dowie, a potem jak się dowie jego komendant i go wywali z roboty, to tatuś weźmie pasa i tak ci, synku, dupę skroi, że przez miesiąc tylko na delikatnym pierzu będziesz mógł siedzieć. – W ustach Bogusia brzmiało to jak anielska muzyka, ale chłopaczek zbladł i zacisnął zęby, żeby nie wyszedł z jego gardła żaden głos. – Z dupą pociętą w kosteczkę i paseczki. Teraz dotarło?

Chłopak ze szczękościskiem tylko kiwnął głową.

– To spadaj – powiedział Badura. – Co za menda – dodał, kiedy zostaliśmy sami.

I chyba wiedziałem, o kogo mu chodzi.

– Jesteś gotów? – spytał Obrębski. Przeszliśmy na ty, bo zbrodnia łączy ludzi, zanim podzieli ich wyrokami sądowymi. – Naprawdę jesteś gotów?

Odetchnąłem z ulgą. Czyż nie byłem? Dyskretnie rozejrzałem się po wnętrzu pubu.

– Jestem – chrząknąłem. – Nie mam wyboru.

– Dobra – powiedział dziennikarz. – To ci powiem, jak ich możesz namierzyć. Tylko pamiętaj, mnie w tej sprawie nie było, nie ma i nigdy nie będzie, jasne?

Po czym zdradził mi, pod jaki adres mam się udać i co powiedzieć.

Zaskoczył mnie. Naprawdę byłem zdziwiony, ale wcześniejsze wydarzenia – w tym fiasko zebrania sąsiadów – upewniły mnie, że pora przestać się beczynnym przyglądać. Chciałem Bractwa Kier, mam je na tacy podane. Teraz tylko zebrać się do kupy i iść walczyć o swoje.